

Zawsze nam się wydawało, że wyjazd do Szwecji to dość drogi pomysł i niezbyt najlepszy na wakacje, kiedy to trzeba się cieszyć z każdego ciepłego dnia, których w Skandynawii nie jest za dużo. Jednak coraz bardziej atrakcyjna cenowo oferta morskich przewoźników oraz niezwykle ciekawość poznania, bądź co bądź naszego sąsiada, przyczyniły się do podjęcia przez nas decyzji, że urlop 2008 spędzimy po drugiej stronie Bałtyku.

Zgodnie z naszym planem najpierw mieliśmy spędzić kilka dni nad polskim morzem, pokręcić się po Gdańsku w czasie Jarmarku Dominikańskiego, nacieszyć się plażowaniem w Sopocie, a potem przebić się promem Stena Line do szwedzkiej Karlskrony i tam spędzić przynajmniej tydzień czasu poznając najbliższą okolicę.

Zaczęliśmy zatem wdrażać nasz prosty plan w życie. Najpierw czekała nas najtrudniejsza droga czyli własnym autem przez całą Polskę, bo dojazd z Kielc do Gdańska to 550 kilometrów dość męczącej drogi. Wybraliśmy się w 5 osób naszą Hondą CRV, ja jako jedyny facet, reszta to płeć piękna, czyli moja żona, córka i dwie nasze koleżanki. W trakcie monotonnej jazdy przez polskie miasta i wioski ze średnią prędkością 60 km/h, motywowała nas nadzieja, że niedługo odpoczniemy sobie na żółtym piasku przy szumie fal, a gdy się tym nacieszymy, ruszymy dalej w nieznane strony za morzem.

Zarezerwowaliśmy sobie wcześniej kwatery w Gdyni oraz w szwedzkim Orranas, w gospodarstwie agroturystycznym niedaleko Karlskrony. Wykupiliśmy też z dwumiesięcznym wyprzedzeniem bilety na prom Stena Baltica, w pakiecie auto + 5 pasażerów i wspólna kajuta za jakieś 500 zł w sumie, co wydawało nam się niezwykle atrakcyjną cenowo ofertę. Jedynym problemem była obawa, że nas nie wpuszczą na prom, bo gdzieś wyczytaliśmy w regulaminie o zakazie przeprawy samochodów z instalacją gazową w jaką było wyposażone nasze auto. Na szczęście nikt tego nie sprawdzał i po trzydniowym nasyceniu się polskim wybrzeżem, po 10,5 godzinnej morskiej podróży olbrzymim i komfortowym promem Stena Baltica zjechaliśmy po 19 wieczorem na szwedzką ziemię.

Udaliśmy się od razu w kierunku Orranas, malutkiej miejscowości koło Jamjo, kilkanaście kilometrów od Karlskrony. Trochę błądziliśmy, bo nasza nawigacja się pogubiła, na mapie nie było zaznaczonych wszystkich dróg, którymi się poruszaliśmy w terenie, a oznaczenia drogowe kierowały tylko do większych miejscowości. Ale po raz kolejny sprawdza się stara metoda „koniec języka za przewodnika” i wkrótce po informacjach uzyskanych od napotkanych ludzi zatrzymaliśmy się przed naszym gospodarstwem.

Gospodarze, młode małżeństwo z dwójką dzieci, powitali nas z uśmiechem i serdecznością. Pokazali nam domek, w którym mieliśmy nocować i co

ciekawe zrobili nam od razu krótkie szkolenie z segregacji śmieci, do czego przywiązywali dużą wagę. Jak się okazało naszymi sąsiadami była miła rodzina z Niemiec z dwójką kilkuletnich chłopców, która większość czasu spędzała na terenie gospodarstwa i dziwili się, że my planujemy jeździć po okolicy zamiast wypoczywać. Każdy relaksuje się jak lubi. Nas jednak od razu ciągnęło nad morze, gdzie po kilkunastu minutach udaliśmy się polną drogą między domostwami, według wskazówek gospodarzy.

I tu pierwsze zaskoczenie po ujrzeniu szwedzkiego wybrzeża. Otóż zamiast piaszczystej plaży zobaczyliśmy pole z krowami, które piły wodę z morza. Chyba zasolenie z tej strony Bałtyku jest dużo mniejsze niż u nas. Stąpając ostrożnie między krowami plackami doszliśmy do samej wody, która była co prawda czysta, ale kamieniste dno nie zachęcało w ogóle do kąpieli. Popłażowaliśmy sobie zatem trochę na trawce przy odgłosach beczących krówek, pograliśmy w piłkę i wróciliśmy na kwaterę, by się rozpakować, coś przekąsić i wyszykować się na wieczorny wypad do Karlskrony.

Stolica regionu Blekinge wieczorem wyglądała jak małe San Francisco. Właśnie zaczynał się weekend, a rozrywkowi Szwedzi wyprowadzili z garaży wypucowane amerykańskie cadillaki i w swoich kolorowych koszulkach, przy dźwiękach muzyki i z głośnymi okrzykami jeździli uliczkami miasta, prawdopodobnie od knajpki do knajpki.

W porcie znajdującym się na liście UNESCO, też trwała jedna wielka impreza. Co ciekawe z daleka dobiegały nas znane dźwięki zespołu Lady Pank. Postanowiliśmy sprawdzić, gdzie jest ta balanga z polską muzą, ale to było tylko wesołe miasteczko, ku uciesze naszej córki. Okazało się, że jedną z osób z obsługi jest Polak, który promuje polską kulturę muzyczną za granicą jeżdżąc z karuzelami od miasteczka do miasteczka. Bardzo się ucieszył, gdy usłyszał polską mowę i widać było, że chce sobie po prostu pogadać z rodakami. Od razu też zaoferował naszej pociesze darmową zabawę na wybranej zjeżdżalni, a nam w tym czasie opowiedział krótką historię swojego życia.

Od niego dowiedzieliśmy się wielu ciekawych informacji o Szwedach, o ich zwyczajach, nadużywaniu alkoholu i innych sprawach, niektórych dość kontrowersyjnych. Takim na pewno było jego wyjaśnienie, że popularne trolle to nie są jakieś magiczne, bajkowe stworki leśne, a jedynie wypędzani dawniej z osad karły i potworki jakich rodziło się kiedyś na tych ziemiach sporo, ze względu na brak mieszania krwi wśród mieszkańców małych siedlisk. Dlatego, zarówno dawniej jak i teraz, mile są tu widziani obcokrajowcy, zwłaszcza młode kobiety, by miksować geny. Być może coś w tym jest, ale jak na razie za mało poznaliśmy ten kraj, by sobie wyrobić pogląd na takie tematy. Unikając drażliwej dyskusji grzecznie pożegnaliśmy się z rodakiem i pospacerowaliśmy portową promenadą do centrum.

Po drodze spotkało nas kolejne miłe zaskoczenie, gdy ujrzeliliśmy piękny żaglowiec z napisem na burcie „Fryderyk Chopin” właśnie dobijający do kei. Przez chwilę poczuliśmy się jak w Gdyni, polski statek, w dali jeszcze było słycać polską muzykę dochodzącą z lunaparku, schodzący z pokładu młodzi, polscy żeglarze gawędzący językiem Mickiewicza. Do tego swojskiego obrazka nie pasował nam jedynie wizerunek łosia w pobliskim barze, gdzie były serwowane przekąski z mięsa tego sympatycznego zwierzaka.

Nazajutrz ujrzeliliśmy z naszego tarasu wybieg dla koni, na którym kilka przepięknych rumaków przechadzało się z gracją. Wspaniały widok jak na powitanie dnia. Przed południem wybraliśmy się na zakupy do pobliskiego Jamjo, zwanego przez nas Dżamdžio. Na drodze do sklepiku zauważyliśmy kosze na psie odchody, co w tak małej miejscowości mogło nas trochę zdziwić. Ale co kraj to inna kultura. W tym przypadku godna naśladowania.

W markeciku od razu naszą uwagę zwróciła z kolei ściana z dziurami na wrzuty surowców wtórnych. Co istotne, za każdą oddaną puszkę czy plastikową butelką otrzymywało się określoną kwotę do wydania w sklepiku na podstawie drukowanego kuponu. Postanowiliśmy ten fakt wykorzystać do edukacji ekologicznej naszej córki, która od tej pory zbierała podczas naszego pobytu wszystkie opakowania szklane i metalowe, by po ich oddaniu do takiego punktu skupu, zamienić je na lody lub słodycze. Tak się powinno łączyć przyjemne z pożytecznym.

Podobnie sprawa wyglądała w markecie przy drodze do Karlskrony, gdzie zatrzymaliśmy się zdając sobie sprawę, że nie zakupiliśmy w Jamjo żadnych miejscowych napojów alkoholowych na planowany tego dnia wieczór przy grillowanym, dzikim łososiu. Ciekawostką zauważoną w tym markecie było to, że na półkach stały jedynie butelki z alkoholami wypełnionymi tak gdzieś w 1/3 pojemności. Nigdzie nie było pełnych flaszek, a jeśli ktoś chciał takową nabyć musiał podać przy kasie kod danego trunku i odebrać go po zapłacie na specjalnie wydzielonym stoisku. To jakieś prohibicyjne zakazy rządu, które mają chronić dzieci przed propagowaniem kultury picia. Niestety z tego co się dowiedzieliśmy, jak każde zakazy, tak i ten powodują skutki uboczne, czyli w tym przypadku rozwój szarej strefy, przemytu taniego alkoholu z Rosji oraz pędzenie bimbru w prawie każdym gospodarstwie. Z papierosami rzecz miała się tak samo, choć wielu Szwedów zamiast palenia cygaretek używa tabaki.

Kolejną sprawą, która wprawiała nas tutaj w zadumę była możliwość pobrania przy wejściu do sklepu czytnika, którym szczytywało się poszczególne ceny towarów wkładanych do koszyka mając dzięki temu na bieżąco sumę wszystkich zakupów. Oprócz stałej kontroli zakupowego budżetu, znacznie to rozwiązywało proces płatności przy kasie. Nie trzeba było wykladać towarów na taśmę, a jedynie podawało

się kasjerce kwotę z czytnika i już. Oczywiście to proste udogodnienie, ale chyba tylko dla uczciwych, bo już nam po głowie przeleciały myśli, że wielu choćby naszych rodaków szybko potrafiłoby znaleźć słabe strony tego rozwiązania, by oszukać i nie płacić za towar w koszyku, którego nie szczytali. Polak przecież potrafi. Ale jak widać, albo jeszcze mało przybyszy z kraju nad Wisłą tam robi zakupy, albo mają jakiś ukryty monitoring, bo w sklepie nie widzieliśmy żadnych ochroniarzy czy bramek.

W Karlskronie, tym razem za dnia, spacerowaliśmy po centrum, odwiedziliśmy Muzeum Marynarki oraz między innymi drewniany Kościół Admiralicji, z zewnątrz pokryty czerwoną farbą, czyli w tradycyjnym szwedzkim kolorze jakim do niedawna malowane były praktycznie wszystkie domy w tym kraju. Obecnie, jak zauważyliśmy podróżując po Szwecji, coraz częściej widać na domach także inne kolory, biały, niebieski, zielony. Podobno zniesiono zakazy używania innych barw do elewacji niż „jedynie słuszne” bordo.

Szukaliśmy w „Koronie Karola”, jak należy tłumaczyć nazwę tego miasta założonego na cześć szwedzkiego króla Karola XI, oprócz zabytków, także jakiejś przyjemnej, nadmorskiej plaży. Znaleźliśmy taką niedaleko Muzeum Marynarki, ale choć była piaszczysta i zadbana, to jednak dość mała i bardzo zatłoczona. Podobała nam się za to znajdująca się tam zjeżdżalnia dla dzieci w kształcie dużej, srebrnej głowy, z której z ucha przez usta można było sobie zjechać w dół. To kolejny przykład chyba trafnego połączenia przyjemnego z pożytecznym, czyli w tym przypadku rozrywki dla dzieci ze sztuką.

Karlskrona leży na kilkudziesięciu wyspach archipelagu Blekinge i na szczęście na jednej z nich Dragso znaleźliśmy inną przyjemną plażę z piaszczystym brzegiem i dnem pośród otaczających ją ciekawych form skalnych oraz polem do mini golfa. Spędziliśmy na niej resztę tego zaskakująco, jak na Skandynawię, ciepłego dnia.

Kolejne dni to poznawanie najbliższej okolicy. Najpierw udaliśmy się do Torhamn, gdzie mieści się rezerwat ptaków, które mają tu jeden z pierwszych przystanków po długim locie przez morze. Stąd można też poznać archipelag pływając lokalnymi promami od wyspy do wyspy. My jednak po krótkim wypoczynku na tamtejszej plaży, udaliśmy się nie promem, ale naszym sprawdzonym autem na dostępne drogą lądową wyspy Tjurko i Sturko. Tam podziwialiśmy między innymi oryginalny, drewniany wiatrak, przyglądaliśmy się grze w golfa na sporym, atrakcyjnie położonym polu oraz zajrzeliśmy do przydrożnej wędzarni, gdzie zaopatrzyliśmy się w świeże ryby na wieczornego grilla, co już stało się naszą tradycją w trakcie pobytu na szwedzkiej ziemi. Wrażenia smakowe z tak przygotowanego dzikiego łososia są nie do opisanego, zwłaszcza z popularnym tutaj niskoprocentowym piwem.

Niedaleko Jamjo znajduje się rezerwat Farskesjon, gdzie można podziwiać neolityczne ryty naskalne, z których furorę wśród damskiej części wycieczki zrobił wizerunek wikinga na łodzi z olbrzymim penisem w stanie erekcji. To chyba tylko jakaś taka dawna symbolika, bo pradawny artysta chyba przesadził tu z proporcjami. Wieczór tego dnia zastał nas nad jeziorem polodowcowym, gdzie widoki zachodzącego nad wodą słońca na długo pozostaną nam w pamięci.

Na pewno warto też odwiedzić, znajdującą się kilkadziesiąt kilometrów na północ, małą rybacką wioskę Kristianopel, gdzie trafiliśmy akurat na zabawę taneczną „na deskach” na świeżym powietrzu przy porcie. Sami daliśmy się też porwać tańcu i zabawie wzbudzając szczery uśmiech miejscowych. Całe miasteczko wygląda jak z bajki o Pipi Pończoszance. Wiele starych, drewnianych domów jest wspaniale odrestaurowanych i dzisiaj mieszczą się w nich karczmy i pensjonaty z klimatem jak z wiejskiego skansenu. Jadło i trunki są dość drogie, acz smaczne i warte wysokiej ceny. Tu podziwialiśmy kolejny wspaniały zachód słońca nad morzem, nad rzędem rybackich łodzi w przystani.

Przedostatniego dnia postanowiliśmy pojechać samochodem do Malmo, a stamtąd mostem do Kopenhagi. To ponad 200 km w jedną stronę, ale pokusa była wielka. Zwłaszcza intrygował nas most, niedawno oddany do użytku. Przejazd odbywa się częściowo w tunelu pod morzem, a częściowo mostem nad wodą. Dzięki temu połączeniu można się dostać do Szwecji już nie tylko przez morze, ale też drogą lądową od strony Niemiec i Danii właśnie.

W Malmo w środku lata na rynku tuż przed ratuszem znajdowało się boisko do siatkówki plażowej, na którym odbywały się zawody sportowe. Widzowie mogli w tej imprezie uczestniczyć także aktywnie, na przykład mierząc sobie tam w specjalnym boksie siłę własnego uderzenia serwu, z czego chętnie skorzystaliśmy. Widać, że miasto umie promować sport. Ciekawy architektonicznie jest dworzec główny, obok którego stoi pacyfistyczny pomnik pistoletu z zawiniętą w supeł lufą. Ładnie prezentuje się też nowoczesny most między dworcem a portem i znajdujący się niedaleko charakterystyczny dla tego miasta nowoczesny biurowiec w pokręconym stylu. W centrum wzrok przyciąga rzeźba przestrzenna „orkiestra”, czyli rząd postaci muzyków naturalnych rozmiarów jakby przechodzących właśnie główną ulicą z okazji jakiegoś święta.

Malmo zrobiło na nas dobre wrażenie, choć podobno tamtejsza stocznia - swego czasu największy pracodawca w mieście - jest na skraju bankructwa, podobnie jak nasze zakłady w Gdańsku i Szczecinie. Jest to wynikiem między innymi konkurencji ze strony niemieckich stoczni, które mają chyba większą siłę przebicia w procesie zdobywania zamówień.

Po wizycie w Malmo przejechaliśmy mostem do widocznej ze szwedzkiego nadbrzeża Kopenhagii, ale o niej napiszę w oddzielnej relacji. W drodze powrotnej do Orranas zajrzeliśmy jeszcze do wioski wikingów w Foteviken, gdzie znajduje się rekonstrukcja dawnej osady tego wojowniczego ludu, a przy brzegu stoją oryginalnej wielkości łodzie ze smoczymi dziobami. Niestety sami wikingowie, którzy mieli tam także przebywać mieli już akurat fajrant, bo zbliżał się wieczór.

Po drodze zwróciliśmy uwagę jeszcze na jedną charakterystyczną dla Skandynawii sprawę. Otóż przy praktycznie każdym domu stoi tutaj maszt z flagą narodową. Widać, że to dumny i patriotyczny naród. Znamienne jest też to, że obowiązuje tu tzw. prawo wolnościowe dające każdemu obywatelowi swobodny dostęp do natury, która jest traktowana jako wspólne dobro. Dlatego nie ma tu opłat za wstęp do rezerwatów, parków narodowych, nadmorskich plaż, czy tak jak u nas na zwykłe moło. Można też biwakować lub rozbijać namiot w dowolnym miejscu, także na prywatnej ziemi.

Jeżeli więc ktoś chce wyruszyć z namiotem na poznanie Szwecji może zaoszczędzić na opłatach kempingowych, ale ważne żeby oczywiście nie niszczyć przyrody, co jest czymś normalnym dla Skandynawów, ale już niekoniecznie dla turystów rąbiących w lesie co popadnie na ognisko. Gdy natomiast chcemy się rozbić na czyjejs ziemi wypada poinformować o tym gospodarza, chyba że jest już późna pora to lepiej mu nie przeszkadzać i zrobić to rano w ramach podziękowań. Gdy rozbijamy się w znacznej odległości od domostwa to nawet nie potrzeba pytać o zgodę na rozbicie namiotu na jedną noc. Jeśli zaś planujemy dłuższe koczowanie na jego ziemi to oczywiście dobrze zapytać go o zgodę, z którą nie powinno być problemów. Tego wszystkiego dowiedzieliśmy się od naszych szwedzkich gospodarzy i biorąc to pod uwagę zdecydowaliśmy, że nasz kolejny pobyt w Skandynawii będzie właśnie pod namiotami.